

# PATRIOTYZM SPUSZCZONY ZE SMYCZY

Im większy polityczny gangster, tym głośniejszy krzyczy o patriotyzmie, godności, narodowych krzywdach i wrogach ojczyzny, próbujących za zagraniczne srebrniki zatrzymać marsz ku świetlanej przyszłości. Ta retoryka w sprzyjających okolicznościach jest skuteczna, bo duże grupy społeczne zawsze czują się obdarte z godności, zlekceważone i skrzywdzone. Wystarczy tylko podpalić ogień.

W ostatnich dziesięcioleciach niedościgłym wzorem stosowania tej strategii jest Władimir Putin. Nieznany szerzej funkcjonariusz KGB w sierpniu 1999 roku został powołany na funkcję premiera Rosji, a miesiąc później w Bujnasku, Moskwie oraz Wołgodońsku doszło do detonacji ładunków wybuchowych zainstalowanych w zamieszkałych blokach. W zamachach zginęło trzysta osób, a już kilka dni później Putin – przy wtórze patriotycznych surm i hasel o obronie zagrożonej ojczyzny – wydał rozkaz wtargnięcia wojsk rosyjskich do Dagestanu, rozpoczynając drugą wojnę czeczeńską. Rosyjskie media pełne były doniesień o czeczeńskich terrorystach czyhających na Rosję i Rosjan, przywoływania historycznych zwycięstw i doniesień o determinacji nowego szefa rządu. Bo z punktu widzenia Kremla najważniejszym następstwem zamachów miało być patriotyczne wzmocnienie obywateli rosyjskich, dzięki któremu Putin zyskał miano niezłomnego i bezwzględnie obrońcy Rosji i rosyjskiego narodu. A po rozpijaczonym, obściskującym się z zachodnimi politykami Borysie Jelcynie Rosjanie życzyli sobie silnego przywódcę.

## ■ WOJNA SCALA NARÓD

Zamachy w Bujnasku, Moskwie i Wołgodońsku od początku budziły wątpliwości specjalistów, a zbiegli do Wielkiej Brytanii Borys Berezowski – rosyjski oligarcha usytuowany dotąd bardzo blisko Kremla – i pułkownik KGB

Aleksandr Litwinienko wprost stwierdzili, że była to prowokacja rosyjskich służb specjalnych, której celem miało być uzasadnienie rozpoczęcia wojny w Czeczenii i „scalenie” narodu wokół nowego przywódcy. Nie ma na poparcie tych słów jednoznacznych dowodów, ale późniejsze zamordowanie przez funkcjonariuszy rosyjskich służb specjalnych Berezowskiego i Litwinienki jest istotną poszlaką. Podobnie jak kolejne wydarzenia, choćby zajęcie Krymu i wojna z Ukrainą, których celem też było przede wszystkim odwrócenie uwagi od bieżących problemów i próba „integracji” rosyjskiego społeczeństwa, zawsze podatnego na patriotyczną retorykę i przynajmniej od czasów Lenina przekonanego o czyhających wrogach chcących pogrzyżać „matuszkę Rosję” w niebycie.

W tej retoryce od dwóch dziesięcioleci głównym wrogiem, podobnie jak w czasach sowieckich, jest oczywiście Zachód, zwłaszcza Stany Zjednoczone, które w swoich niecznych, a właściwie zbrodniczych działaniach posługują się „zdrajcami”, Rosjanami, którzy zapredali duszę diabłu. Przyjmują zachodnie pieniądze i robią wszystko, aby osłabić ojczyznę i wielki rosyjski naród. W zaleźności od potrzeb mogą to być matki, upominający się o ciała swoich synów poległych na toczonych potajemnie przez Rosję wojnach, na Ukrainie lub w Syrii, przedsiębiorcy, działacze LGBT, opozycjoniści demonstrujący w sprawie wolnych wyborów, działacze organizacji domagających się poszanowania praw człowieka, ludzie protestujący przeciwko szalejącej w Rosji korupcji, ekolodzy. To, o co walczą, nie jest ważne. Ważne jest to, że sprzeciwiają się jednolądzemu Putina, uczciwego patrioty, który mozoli się, odbudowując rosyjską potęgę z czasów cara Piotra I i generalissimusa Józefa Stalina. I za to muszą zostać ukarani.

Z tym samym mechanizmem, w nieco łagodniejszej formie, bo pozbawionej działań zbrojnych, mamy do czynienia także u „kieszonkowych” dyktatorów, choćby Viktora Orbána, niepodzielnie rządzącego Węgrami, oraz panującego w Turcji niczym sultan Recepą Erdoğaną. Obaj dyktatorzy od lat skutecznie karmią swoje

społeczeństwa transferami socjalnymi i udawaną troską o naród. To jednak nie wystarczy. Dlatego sięgają do bardziej wyrafinowanych metod, aby uzasadnić swoje ambicje posiadania dyktatorskiej władzy. Strach jest w tym procesie bardzo wygodnym narzędziem, bo zatrwożone społeczeństwo chętnie wyzbywa się wolności na rzecz bezpieczeństwa i garnie pod skrzydła kwoki niczym zestrachane kurczaki. Aby ten stan osiągnąć, trzeba mieć wrogów, a jeśli ich brakuje – trzeba ich stworzyć. Obojętnie, wewnętrznych czy zewnętrznych, ale czyhających na suwerenność państwa i próbujących pozbawić społeczeństwo ekonomicznych fundamentów.

### ■ LUD ŻĄDA WROGA

Warto zwrócić szczególną uwagę na Węgry. Nie tylko dlatego, że w przeciwieństwie do Turcji jest to kraj należący do Unii Europejskiej, ale także dlatego, że Jarosław Kaczyński od wielu lat się na Orbánie wzoruje. To zresztą mało powiedziane – realizuje scenariusz, który Orbán przećwiczył w swoim kraju. „Jestem głęboko przekonany, że przyjdzie taki dzień, że będziemy mieli w Warszawie Budapeszt” – powiedział przywódca Prawa i Sprawiedliwości po przegranych wyborach parlamentarnych w 2011 roku. Dzisiaj jest już blisko, aby ta wizja się sprawdziła.

Viktor Orbán zaczął szuflować narodowi wrogów, bo bez nich autorytarny system nie może ani powstać, ani istnieć. Najpierw na celowniku znalazł się Międzynarodowy Fundusz Walutowy, oskarżony o „wysysanie” z Węgier najlepszych gospodarczych kasków oraz o narzucenie Budapesztowi ciężkich, na dodatek niepotrzebnych i nieskutecznych reform. Później Orbán dołączył do niego Unię Europejską, która jakoby bezwzględnie narzucała Węgrom „niezgodne z lokalną tradycją” normy ustrojowe. Każąc otworzyć rynek na zachodnią konkurencję, doprowadziła do upadku „tysiące węgierskich przedsiębiorstw”, a kraj uczyniła „rynkiem zbytu” dla zachodnich towarów. Wreszcie Orbánowska machina propagandy podsunęła Węgrom George’a Sorosa, amerykańskiego finansistę urodzonego na Węgrzech. Idealny kandydat, bo Żyd, a więc według zadowolonego w ludzkich umysłach stereotypu



uczestnik syjonistycznego spisku, którego celem jest opanowanie świata. A ten, rzecz oczywista, nie może się dokonać bez opanowania Węgier. Na dodatek konkretna osoba, jednoznaczny cel.

Nienawiść do Sorosa stała się na Węgrzech religią narodową – oskarżano go o stworzenie i realizację planu, którego celem była całkowita zagłada Węgier. Obywatele, przynajmniej znaczna ich część, w to uwierzyła. Później do Sorosa Viktor Orbán dokleił kolejnego wroga, czyli uchodźców z Syrii, Afganistanu, Iraku. Udało się to z łatwością, bo na początku września 2015 roku na budapeszteńskim dworcu Keleti koczowało około trzech tysięcy migrantów z terenów objętych wojną. Nie zamierzali zostać na Węgrzech, chcieli jechać dalej, ale państwu kolej nie podstawiła pociągów. Całkiem świadomie. Uchodźcy mieli być na miejscu, aby strach przed nimi i nienawiść rosły. Prosty i skuteczny sposób pokazania Węgrom, że gdyby nie Orbán, muzułmańskie hordy – za namową Zachodu, zwłaszcza niemieckiej kanczeli Angel Merkel – zalałyby piękny naddunajski kraj, gwałciły węgierskie żony i córki, odebrały społeczeństwu gospodarczą pomyślność. I strach urósł. Zatroscyżyli się o to podległe Orbánowi media.

### ■ POWETOWAĆ DAWNE KRZYWDY

Jednocześnie Fidesz, partia Viktora Orbána, straszył Węgrów – znany to z kampanii „Polska w ruinie” – że ich państwo jest niewydolne, administracja niesprawna, cały system wymaga szybkiej naprawy, czyli „szarpnięcia cugłami”. I Orbán szarpnął. Zmienił konstytucję, podporządkował sobie sądownictwo, administrację obsadził zwolennikami Fideszu, na najwyższych piętrach biznesu, poprzez system specjalnych

dotacji – bardzo często zresztą, o ironio, pochodzących z funduszy unijnych – ulokował swoich ziomków. Dość powiedzieć, że na listach najbogatszych Węgrów znalazł się Lőrinc Mészáros, przyjaciel Orbána z dzieciństwa, kiedyś monter gazu, a obecnie piąta najbogatsza osoba na Węgrzech. Nauczycieli, którzy aktywnie protestowali przeciwko reżimowi, Orbán uczynił pracownikami administracji państwowej, nakładając skuteczny kaganiec na ich poglądy. Pod pretekstem zwiększenia efektywności działania porządkował sobie wyższe uczelnie, które mają teraz kształcić nowe węgierskie elity. Opanował służby specjalne, dowództwo armii obsadził swoimi generałami, pod but wzięł wszystkie najważniejsze instytucje kultury. A potem zabrał się za media, które trafiły albo w ręce państwowych firm, albo zaprzyjaźnionych biznesmenów, albo po prostu zostały zamknięte. Orbán zrobił z Węgier „państwo prywatne”, albo – jak nazwał to socjolog Bálint Magyar – „mafijne”. I w końcu, jak zawsze w wypadku krajów autorytarnych, zaczął się kumać z Rosją.

To nie przypadek. Bo choć marzeniem każdego dyktatora jest autarkia, to jednak w praktyce jej osiągnięcie jest niemożliwe. Ponieważ sojusz z Zachodem oznacza konieczność realizowania demokratycznych standardów, to Władimir Putin sam wypada z pudełka. Bo jemu jest serdecznie obojętne, jaki w zaprzyjaźnionym z nim kraju panuje system polityczny, poziom korupcji, nie zwraca w przeciwieństwie do Unii Europejskiej uwagi na wolne media i funkcjonowanie systemu prawnego. Jeśli brakuje wolności słowa, a wyroki wydają politycy, to dla Kremla lepiej.

Wszystkie te działania podlano jeszcze dwoma sosami. Patriotycznym – Orbán zawarował patriotyzm tylko dla siebie i swoich zwolenników, odmawiając go wszystkim, którzy nie poszli za nim, opowiadając się za dalszą integracją europejską, za otwartym państwem obywatelskim. I drugim – poczuciem krzywdy, której jakoby Węgrzy zawsze doświadczali od Zachodu. Tu wygodnym instrumentem okazał się układ z Trianon, którego sygnatariuszami były między innymi Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Francja.

Układ został podpisany w 1920 roku i jest nazywany „dziejową zbrodnią na narodzie węgierskim”. Węgry, walczące podczas I wojny światowej po stronie Niemiec i monarchii habsburskiej, straciły wtedy blisko dwie trzecie ludności i dwie trzecie terytorium. Drakońska kara. Przez lata układ z Trianon był nieobecny

w węgierskim życiu politycznym, ale bużował w społecznej świadomości, bardziej niż w Polsce utrata Kresów Wschodnich. Viktor Orbán wywlekl go na światło dzienne, dowodząc, że Węgrzy zawsze doznawali krzywd od Zachodu. Wrogowie z Zachodu, islamscy „najeźdźcy”, Soros – Orbán stworzył z nich mieszaninę wybuchową, wmawiając obywatelom, że potrzebują „silnego państwa”. Nie zauważyli, że dzięki tym nastrojom Orbán po prostu państwo sprywatyzował. I nie zauważyli, że ta prywatyzacja oznacza też oddalenie od Zachodu i zbliżenie z Rosją, tą samą, która w 1956 roku utopiła węgierskie powstanie we krwi.

#### ■ MAFIJNA RODZINA

Ten sam proces obserwujemy dziś w rządzonej przez Recepa Erdoğan Turcji. Zresztą nie tylko w zbliżeniu Stambułu do Moskwy podobieństwo z Węgrami widać. Erdoğan wykorzystał (lub, co bardziej prawdopodobne, wymyślił) przygotowywany w lipcu 2016 roku zamach stanu i powsadzał do więzień wszystkich, którzy nie dość entuzjastycznie mu klaskali. Za kratami znalazło się wielu nauczycieli, którzy zwłaszcza na tureckiej prowincji stanowili intelektualną elitę, naukowców oraz oficerów, bo armia turecka tradycyjnie odgrywała ogromną rolę w życiu politycznym. Erdoğan osobiście wybił rektorów wyższych uczelni i też, jak Orbán oraz Jarosław Kaczyński w Polsce, „uzdrowił” sądownictwo, poddając cały system własnemu zwierzchnictwu. I aby zapewnić sobie całkowitą kontrolę nad gospodarką, w 2018 roku mianował swojego zięcia, Berata Albayraka, ministrem skarbu i finansów.

To istotna informacja. Kalabryjska ‘Ndrangheta jest dzisiaj największą i najskuteczniejszą organizacją mafijną na świecie również dlatego, że rekrutuje swoich członków niemal wyłącznie wśród rodzin. Był w niej dziadek, jest syn, może być jego syn. Dzięki temu organizacja jest bardziej odporna na zdradę i inwigilację służb. Dyktatorzy idą podobną drogą. Zięć Viktora Orbána, István Tiborc, nie pełni jeszcze żadnej państwowej funkcji, ale już w znacznym stopniu kontroluje cały węgierski rynek nieruchomości.

W obu krajach zmiany ustrojowe szybko przełożyły się na gospodarkę. Węgry notują dzisiaj dobre wyniki, ale tamtejsza gospodarka jest oparta na przemyśle motoryzacyjnym, zwłaszcza niemieckim. Ta branża właśnie wkracza w głęboką recesję. Turcja przez całe lata była ulubieńcem inwestorów, ale gdy Erdoğan poczuł siłę, pogonił doradców z Międzynarodowego

Funduszu Walutowego, których zalecenia dotąd skrupulatnie wypełniał. Pieniądze zaczęły płynąć do zaprzyjaźnionych firm i biznesmenów, ruszyła inflacja, gospodarka się posypała. Dziś Turcja walczy z recesją.

#### ■ POLSKI SOROS NA NIEMIECKIM POSTRONKU

Wszystkie te mechanizmy, „przepracowane” w Rosji, na Węgrzech i w Turcji, a wcześniej w wielu innych krajach, są pracowicie wszczepiane w polski system polityczny, choć w istocie „dobra zmiana” nie musiałaby się odwoływać do zagranicznych wzorców, wszak „Polacy nie gęsi...”. Mamy w tym względzie piękne, rodzime wzorce. Język będących na służbie obozu władzy hejterów jest podobny do tego, który serwowała Polakom komunistyczna propaganda. Wystarczy przypomnieć sobie, co mówiono i pisano w marcu 1968 roku, co w latach siedemdziesiątych słyszeliśmy o działaczach Komitetu Obrony Robotników, wystarczy przywołać w pamięci słynne konferencje dla dziennikarzy zagranicznych i słowa o „sprzedawczykach z Solidarności” Jerzego Urbana.

Ale można się też odwołać do Stanów Zjednoczonych. Nawet tam, w rozwiniętym, demokratycznym kraju, Donaldowi Trumpowi udało się wzbudzić strach i falę nienawiści do wrogów – Meksykanów i innych mieszkańców Ameryki Południowej poszukujących w USA lepszego życia, do nowojorsko-waszyngtońskich elit uosabianych przez Hilary Clinton, do biznesmenów i celebrytów, wreszcie do Europejczyków, którzy jakoś wysysają pieniądze z amerykańskiego społeczeństwa, do muzułmanów i ostatnio do Chińczyków.

Polskie społeczeństwo od lat jest przez prawicę karmione informacjami o emigrantach zakażających groźnymi zarazkami, o unijnych urzędnikach czyhających na polską suwerenność, aby teren między Odrą a Bugiem był tylko wygodnym rynkiem zbytu dla towarów produkowanych przez niemieckie, francuskie i hiszpańskie koncerny. „Zamach” w Smoleńsku był w istocie, jak twierdził Antoni Macierewicz, wypowiedzeniem Polsce wojny

przez Rosję. Straszy się Polaków „postkomunizmem”, pseudoelitami, które zostały stworzone przez KGB i starają się trzymać naród w ryzach, wyprzedawaniem majątku narodowego, „targowiczami”, którzy chcą nas sprzedać brukselskim urzędnikom. Ostatnio szczególnie duży nacisk kładzie się na środowiska LGBT, które „niszczą polską rodzinę, polski Kościół, polską tradycję”. PiS straszy każdą innością – kiedyś Ślązakami, dzisiaj „gdańskimi elitami”, które jakoby idą na „niemieckim postronku”.

Najgroźniejszym i najbardziej niebezpiecznym wrogiem, według kreacji PiS, ma być wróg wewnętrzny. Rolę „polskiego Sorosa” miał odegrać Donald Tusk (też z Trójmiasta), idący na niemieckim pasku, który za intratne stanowisko w Unii Europejskiej oddał Polskę na zatracenie. To on miał stworzyć Amber Gold, lukę VAT-owską, spiskować z Putinem. Ten zabieg nie bardzo się propagandystom PiS powiódł, ale na podporządku są setki osób, które z łatwością można ubrać w garnitur zdrajcy, a już na pewno oskarżyć o brak patriotyzmu. Ostatnie wydarzenia wskazują, że ten proceder trwa i został wzbogacony o nowe, skuteczne narzędzia.

#### ■ STRUKTURY TAJNE I POZBAWIONE KONTROLI

Jednym z nich jest tworzenie równoległych, w istocie tajnych i pozbawionych kontroli, struktur, drugim – skłonność do „czarnego piaru”. „Czarny piar” to bardziej elegancka nazwa hejtu.

T a k



Katolicy. Czy dałeś sobie wmówić, że nie mają nic wspólnego z faszyzmem. Źródło Internet.

zwana afera hejterska w Ministerstwie Sprawiedliwości, zorganizowana akcja szkolenia i nękania w mediach społecznościowych sędziów zaangażowanych w obronę systemu sądownictwa, nie jest w istocie żadną „afetą w Ministerstwie Sprawiedliwości”, „afetą Piebiaka”, czy, jak próbują wmawiać minister Zbigniew Ziobro i poseł Stanisław Piotrowicz, „klótnią w środowisku sędziowskim”. Te określenia są eufemizmami, które mają osłabić wymowę przestępczej działalności gangu przez wiele miesięcy funkcjonującego w kręgach władzy.

Pytanie, czy jedynego takiego. Wątpliwość są uzasadnione, bo wcześniej fala niszczącego hejtu wylewała się podczas innych, niekorzystnych dla obozu władzy wydarzeń. Pod ostrzałem hejterów byli już organizujący demonstracje działacze Komitetu Obrony Demokracji, strajkujący na przełomie 2017 i 2018 roku lekarze rezydenci, w kwietniu tego roku nauczyciele, wcześniej ekolodzy próbujący zablokować wycinanie Puszczy Białowieskiej, protestujące przeciwko zaostrzeniu przepisów ustawy antyaborcyjnej organizatorki „czarnego marszu”, inspiratorzy marszów równości, a w ostatnich tygodniach działacze Greenpeace, którzy zablokowali statek z węglem z Mozambiku. Należy wątpić, aby akurat tymi grupami zajmowali się również funkcjonariusze Ministerstwa Sprawiedliwości. Zdrowy rozsądek każe szukać w innych miejscach. Nie wszystkie one musiały być usytuowane w ministerstwach lub urzędach centralnych, nie we wszystkich musieli uczestniczyć urzędnicy państwowi – mogli to robić funkcjonariusze partyjni – ale wykluczyć zorganizowanych działań wymierzonych w przeciwników PiS nie można.

Tym bardziej że najnowsze doniesienia potwierdzają istnienie „fabryk trolli” także w innych instytucjach. Choćby w Żandarmerii Wojskowej, gdzie za cel obrano kobiety, które ujawniły przypadki molestowania seksualnego w wojsku. Sposób działania, który ujawnił Onet, był bardzo podobny, żeby nie powiedzieć identyczny. Podobnie jak w przypadku Emi, głównej hejterki działającej w środowisku sędziowskim, atakujący żołnierki również dysponowali informacjami z toczących się śledztw, do których dostęp powinna mieć tylko bardzo nieliczna grupa śledczych i prokuratorów.

#### ■ MAMY ZLECENIE

Nieodległe od tych metod działania prowadziła także Telewizja Polska. Jak w wywiadzie dla „Polityki” ujawnił były dziennikarz stacji

Mariusz Kowalewski, pracownicy TVP mieli dostawać od swoich szefów zlecenia, których celem było „załatwienie” przeciwników prezesa Jacka Kurskiego. Aby zastraszyć Tomasza Lisa i odwieść go od pomysłu opublikowania przez „Newsweek” niekorzystnego dla Kurskiego materiału, nad dom dziennikarza wysłano drona, a Jacek Łęski, redaktor „mediów narodowych”, telefonicznie poinformował Lisa, że w telewizji jest zlecenie na jego rodzinę.

Tomasz Lis nie był jedynym nieprzychylnym dziennikarzem objętym tego typu działaniami. Na liście znalazł się również Bogusław Chrabota, redaktor naczelny „Rzeczpospolitej”, oraz właściciel wydawcy tego dziennika, Grzegorz Hajdarowicz. Powodem była publikacja „Rzeczpospolitej” z kwietnia 2008 na temat nieprawidłowości przy wyborze Kurskiego na stanowisko szefa TVP. Gdy materiał się ukazał, w odwiecie funkcjonariusze państwowego nadawcy rozpuszczali informacje o rzekomych związkach Chraboty i Hajdarowicza z Urzędem Ochrony Państwa oraz skompromitowanym lobbystą Markiem Dochnalem. Na celowniku znaleźli się również dziennikarze zaliczani do obozu władzy – Piotr Nisztor oraz Witold Gadowski, bo poinformowali, że jeden z najbliższych przybocznych prezesa TVP był w przeszłości współpracownikiem peerelowskiej Służby Bezpieczeństwa.

Obiektem szczególnych działań „telewizji narodowej” stał się nawet Krzysztof Czabański, od wielu lat związany z Jarosławem Kaczyńskim, a od 2016 kierujący Radą Mediów Narodowych. Czabański ma nieszczęście być przeciwnikiem Jacka Kurskiego, więc ten na różne sposoby stara się go skompromitować. Mariusz Kowalewski twierdzi, że poprzez jedną z współpracujących z TVP firm wynajęto profesjonalną agencję detektywistyczną z zadaniem śledzenia Czabańskiego. Kurski chciał się dowiedzieć, z kim przewodniczący Rady Mediów Narodowych się spotyka, kazał też szukać dowodów na domniemane pijaństwo Czabańskiego.

Sędziowie z „Kasty” czy funkcjonariusze z TVP podejmowali swoje gangsterskie działania tym chętniej, że cały proceder został sprytnie „ubrany” w kostium patriotyzmu. Gdyby „szczujnia” uprawiana przez „Kastę” nie była tak dramatycznie niebezpieczna, byłaby po prostu śmieszna. Sędziowie, 40-50-latkowie, którzy roją o tym, że są następcami rotmistrza Witolda Pileckiego, spadkobiercami Danuty Siedzikówny „Inki”, piszą, że „zostaną pocho-

wani w bezimiennym grobie” – to przecież dziedzinada. Ale uprawiana przez dorosłych ludzi.

Istnieje oczywiście możliwość, że to czysty przypadek. Że ten sam mechanizm walki z przeciwnikami obejmujący, jak dotąd wiadomo, Ministerstwo Sprawiedliwości, Żandarmerię Wojskową oraz Telewizję Polską powstał tam niezależnie i w mniej więcej tym samym czasie. Z pewnością istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że w kilku instytucjach państwowych, niezależnie od siebie, ludzie „dobrej zmiany” wpadli na ten sam, szatański pomysł. Trzeba być jednak bardzo naiwnym, aby w to uwierzyć.

### ■ MARIUSZ ROBESPIERRE

Sprawę powinny zbadać służby. Powinny, ale nie zbadają. Z wielu powodów. Kierujący nimi Mariusz Kamiński, określany często jako „współczesny Robespierre”, a przez mniej przychylnych „Dzierżyńskim”, w drodze do celu lubi chodzić na skrót. Nawet jeśli ten skrót oznacza łamanie prawa. Udowodnił to, pełniąc w latach 2006–2009 funkcję szefa Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Efektem było oskarżenie Kamińskiego między innymi o nadużycie uprawnień, kierowanie nielegalnymi działaniami operacyjnymi CBA, kierowanie podrabianiem dokumentów i wyłudzenie poświadczenia nieprawdy. Sporo jak na urzędnika państwowego. W marcu 2015 roku sąd skazał Kamińskiego na karę trzech lat więzienia i dziesięcioletni okres uniemożliwiający obejmowania funkcji w administracji państwowej. Przed pójściem za kraty uratował go w 2015 roku prezydent Andrzej Duda. Po drugie, Kamiński jest jednym z najwierniejszych „żołnierzy” czy raczej „oficerów” prezesa PiS.

Ale służby nie zbadają tej sprawy również dlatego, że po prostu nie potrafiłyby tego zrobić. Ich poziom jest żenująco niski – i był taki również przed 2015 rokiem, o czym można się przekonać, czytając książkę Grzegorza Rzeczkowskiego *Obcym alfabetem* – a po czystkach dokonanych przez Kamińskiego i Antoniego Macierewicza spadł na dno. Starszych oficerów się pozbyto, a w ich miejsce przyjęto nowych. Jakich? Gdy w 2005 roku Mariusz Kamiński tworzył Centralne Biuro Antykorupcyjne, funkcjonariuszy tej podobno elitarniej służby rekrutowano spośród harcerzy (przede wszystkim harcerzy z prawnicowego Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej), strażników miejskich, jedno z najistotniejszych stanowisk powierzono zaś młodemu policjantowi, który wcześniej służył w kolejowym komisariacie w prowincjonalnym

miasteczku. Wisienką na torcie był agent Tomek, wykonawca w 2007 roku akcji CBA wymierzonej w Beatę Sawicką, posłankę Platformy Obywatelskiej, której zatrzymanie z pompą ogłoszono w finale kampanii wyborczej. Zasłynął udostępnianymi publicznie zdjęciami, na których jego goły tors rywalizował o uwagę z wypełnioną pieniędzmi walizką.

Kryterium doboru ludzi do CBA było wówczas proste – żadnych związków z peelerowskim aparatem przemocy, jak najdalej od służbowych szczytów za rządów SLD i PO... Jeśli takie było wówczas, to z pewnością obowiązuje również od 2015 roku. Jeśli więc stwierdzenie, że polskie służby specjalne, nie tylko CBA, są dzisiaj słabe niczym pluszowy miś, jest przesadą, to z całą pewnością niewielką. Strach pomyśleć, że ich profesjonalizm jest porównywalny z tym, który reprezentują kierownicy Służby Ochrony Państwa. A to, niestety, prawdopodobne.

### ■ NA PEGASUSIE W OPOZYCJĘ?

Oczywiście jednak, najważniejszym powodem, dla którego gangsterskie działania „Herszta”, jak nazywano wiceministra Łukasza Piebiaka, i jego „Kasty” nie zostaną wyjaśnione, jest polityka. Kamiński może garściami sięgać po wzorce z Ministerstwa Sprawiedliwości, gdzie niewyjaśnianie spraw niewygodnych dla PiS stało się już standardem. W końcu od wielu miesięcy zamiata się tam pod dywan sprawę „dwóch wież”, próby wymuszenia na Leszku Czarneckim łapówki przez byłego przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego czy spalenia w Katowicach fotografii należących do Platformy Obywatelskiej europosłów...

Awans Mariusza Kamińskiego na szefa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przemknął niemal niezauważony, tymczasem uważni publicyści od lat zajmujący się tą dziedziną, choćby Piotr Pytlakowski z „Polityki”, ostrzegają, że może to oznaczać wprzęgnięcie służb w kampanię wyborczą Prawa i Sprawiedliwości. Nie jest to wykluczone. Rok temu jeden z byłych wiceszefów tego resortu tłumaczył mi, że MSW dysponuje ogromnymi możliwościami w tej dziedzinie, w tym specjalną strukturą wyspecjalizowaną w działaniach internetowych.

Będą opory? Wystarczy porozmawiać z funkcjonariuszami pracującymi w komisariatach od dwóch, trzech dziesięcioleci. Wielu z nich twierdzi, że nigdy jeszcze po 1990 roku stopień upolitycznienia polskiej policji nie był tak wielki. Te działania mogą być (są?) znacznie bardziej profesjonalne niż to, co zafundowali

sędziom podwładni Zbigniewa Ziobry czy wojskowi z Żandarmerii. Zwłaszcza że służby dysponują dzisiaj jednym z najnowocześniejszych na świecie systemów inwigilacji elektronicznej, czyli izraelskim „Pegasusem”, który daje im stały dostęp na przykład do dowolnego smartfonu i całej jego zawartości. Przedstawiciele władz to lekceważą, mówiąc, że „uczciwi obywatele nie mają się czego obawiać”. Tyle że o tym, kto jest uczciwy, przesądza dzisiaj władza... Działań inwigilacyjnych jest zresztą więcej. Według nowego projektu służby mają mieć choćby nieograniczony dostęp do aplikacji, dzięki którym zamawiamy Ubera. W programie PiS jest mowa o weryfikacji dziennikarzy, ZNP pyta Ministerstwo Edukacji Narodowej, po co do szkół trafiła ankieta, w której pyta się dzieci o rozwód rodziców i o to, jak często się modlą...

### ■ CIĄG TECHNOLOGICZNY

Służby specjalne są istotne, bo stanowią najistotniejszy element tzw. „ciągu technologicznego” władzy, który Prawo i Sprawiedliwość stworzyło w pierwszym okresie swoich rządów, czyli w latach 2005–2007, a teraz tylko go udoskonala. Działania w tej materii są dziś znacznie dyskretniejsze, formalnie oddzielone od władzy. Dla niewtajemniczonych mogą wydawać się oddolne, prowadzone przez zwykłych, choć agresywnych zwolenników rządzącej partii i nie mieć nic wspólnego z szacownymi członkami ugrupowania, a już zwłaszcza z instytucjami państwowymi. Nie bez przyczyny, bo działania pisowskiej władzy przed dwunastu laty wystraszyły Polaków i stały się jedną z najważniejszych przyczyn jej porażki wyborczej. Bezwzględność, lekceważenie norm cywilizacyjnych, śmierć Barbary Blidy oraz atak na lekarzy – w tym na prof. Mirosława Garlickiego, o którym Zbigniew Ziobro powiedział publicznie: „Już nikt nigdy przez tego pana życia pozbawiony nie będzie” (za co w 2012 roku musiał przeprosić) – zniesmaczyły Polaków, a niektórych autentycznie przeraziły. Efektem były długie kolejki przed lokalami wyborczymi w październiku 2007 roku i opuszczenie fotela premiera przez Kaczyńskiego. A później osiem lat smutnej egzystencji w opozycji.

Dłatego teraz PiS stara się działać dyskretniej, ukrywając się za plecami hejterów i z rzadka tylko sięgając po funkcjonariuszy CBA lub innych służb. Zamiast spektakularnych aresztowań próbuje swoich przeciwników ochlapać błotem, skompromitować, unurzać w brudzie i zniechęcić do działalności publicznej. Cel jest

ten sam, ale teraz realizowany przez działania hybrydowe. To jakby sięgnięcie po putinowskich „zielonych ludzików” w wewnętrznej rozprawie z opozycją. Doświadczyli tego Henryka Krzywonos, Jadwiga Staniszkis, Adam Rotfeld, Małgorzata Gersdorf, sędziowie i dziennikarze (okładka jednego z „pism niepokornych” przedstawiająca Piotra Kraśkę, do 2015 roku szefa „Wiadomości”, w wojskowym mundurze, co nawiązywało do propagandy stanu wojennego; Tomasz Lis w mundurze esesmana).

*Toutes proportions gardées* – też doświadczylem działania tej maszyny. Tuż przed ukazaniem się książki o Mateuszu Morawieckim – *Delfin*, której jestem współautorem, na pierwszej stronie „Super Expressu”, dziennika życzliwego władzy, ukazał się tekst piętnujący nas za „ujawnienie” informacji, że premier ma dwoje adoptowanych dzieci. Sugerowano, że dowiedziałem się o tym jako rzecznik banku, którym premier kierował w latach 2007–2015. Podwójna bzdura: adopcja nastąpiła już po moim odejściu z banku, a o adopcji pisała wcześniej „Gazeta Wyborcza”. Na dodatek informacja zajmuje w książce jedno zdanie i ma pozytywny wydźwięk. Mimo to po publikacji „Super Expressu” rozpełtała się nagonka na nas na Twitterze, a adres mailowy wydawnictwa został zalany setkami piętnujących autorów listów.

### ■ BOLID W WERSJI STEALTH

O ile w pierwszych latach swoich rządów machina walki PiS z opozycją była raczej pojazdem zrobionym własnym sumptem gdzieś w osiedlowym garażu, to dzisiaj jest już całkiem udanym, na nieszczęście dla obywateli, bolidem. I to częściowo wykonanym, jak amerykański myśliwiec F-22 Raptor, w technologii *stealth*. Jest niemal niewidoczna, a w każdym razie trudno rozpoznawalna. Wtedy był „dziadek z Wehrmachtu”, sformułowanie, którego autor był świetnie znany (Jacek Kurski), dzisiaj kłamstwa i obrzucanie błotem przeciwników politycznych odbywa się anonimowo, poprzez sieć i robi wrażenie, że zostało stworzone i powielone przez zwykłych obywateli. Ta propaganda jest znacznie mniej toporna niż przekaz TVP i znacznie skuteczniejsza, lepiej trafia do mas. Nie wszyscy jej oczywiście wierzą, ale pozostaje po niej osad, niechęć, wątpliwość i paraliż tych, którzy są obiektem ataków. Tym bardziej że z reguły skupia się na sprawach obyczajowych, zrozumiałych dla wszystkich i budzących niezdrawą ciekawość: kochanki, niesłubne dzieci, porzucone żony, konflikty z sąsiadami...

Wszystko albo zmyślane, albo mocno „podkrecone”.

Dzięki tej metodzie władza zyskała możliwość wskazywania tych, którzy są uczciwi. Robi to pod płaszczykiem „głosu ludu”, suwerena, który przecież w swojej masowej mądrości mylić się nie może. A skoro suweren wskazuje nieuczciwych, „sprzedawczyków za brukselskie srebrniki”, to władza ma obowiązek się nimi zająć! Jeśli na razie „zajmuje się” w sposób dość ograniczony, to tylko dlatego, że jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment. Nadejdzie, być może, po najbliższych wyborach, jeśli tylko suweren jeszcze bardziej zaufa „dobrej zmianie”. Taka jest logika wydarzeń, bo rządzący nie mają już gdzie się cofnąć. Tak rozhuśtali emocje, tak podkreśliли spiralę nienawiści, że muszą odpowiedzieć na żądania rozemocjonowanego tłumu jeszcze mocniejszym uderzeniem. Nie mogą się też cofnąć, bo oddanie władzy oznaczałoby rozliczenie, a być może również kary więzienia dla wielu ważnych dzisiaj funkcjonariuszy państwowych. Więc będą się przed oddaniem władzy bronili wszelkimi metodami.

#### ■ DECENTRALIZACJA I PARTYZANCI

Rozproszenie działań mających na celu wyeliminowanie ludzi niewygodnych dla obozu „dobrej zmiany” nie powinno nikogo dziwić. Po pierwsze, utrudnia to wykrycie całego procederu, a po drugie jest zgodne ze znaną zasadą międzynarodowych korporacji „myśl globalnie, działaj lokalnie”. I jest bardziej motywujące – sędziowie z „Kasty” bardziej angażowali się w proceder niszczenia swoich kolegów, mając nadzieję, że w ten sposób eliminują konkurentów do awansu, funkcjonariusze TVP chętnie niszczyli Lisa, Kraśkę i im podobnych, bo dzięki temu łatwiej wysuwali się na czoło peletonu zdążającego do mety z napisem „posady i kasa”. Wszyscy robili to dla „fruktów”, które ta władza rozdaje z nadzwyczajną hojnością.

Rzecz ciekawa – taki zdecentralizowany model działania jest, świadomie bądź nie, wzorowany na działalności mafijnej. Zarówno amerykańska Cosa Nostra, jak i kalabryjska ‘Ndrangheta, najskuteczniejsza i największa dzisiaj organizacja mafijna na świecie, to „konfederacje” luźnych grup przestępczych.

W przywołanej już tutaj książce o Mateuszu Morawieckim opisaliśmy, jak w jednym z wywiadów na pytanie, kim chciałby być, gdyby nie był prezesem banku – rzecz działa się przed dwunastu laty – dzisiejszy premier odpowiedział: „partyzantem”. Jako rzecznik pra-

sowy odpowiedzialny za kształtowanie opinii o banku próbowałem wymóc na nim zmianę tej odpowiedzi, ale stanowczo się temu sprzeciwił. Poszło. Teraz okazuje się, że to stwierdzenie właściwe dla znacznie szerszego grona dzisiejszych politycznych elit. Dzisiaj partyzantami czuje się cała elita władzy, wyobrażając sobie, że Polska nadal tkwi pod okupacją (brukselską?), a oni niczym rotmistrz Pilecki tworzą konspirację w obozie koncentracyjnym. To mentalność gimnazjalistów. W wieku dwunastu, trzynastu lat każdy chłopiec chce być partyzantem. Później wyrasta z krótkich spodenek. Jak się okazuje, nie każdy, co potwierdzają również przesyłane Emi przez jednego z sędziów „dobrej zmiany” zdjęcia jego genitaliów.

Ten patriotyczny sztafaż, w który ubierają się obecne elity, jest jednak ważny. U podstaw ich karier leży dążenie do władzy i pieniędzy, ale to niskie pobudki, które trzeba okraszyć wzniosłymi hasłami, które łagodzą dyskomfort wynikający z propagandy PiS mówiącej, że do władzy i pieniędzy pchali się politycy Platformy Obywatelskiej, Sojuszu Lewicy Demokratycznej, Unii Wolności – generalnie „elity okrągłostołowe”. Prawica zaś to patrioci („prawdziwi patrioci”), którzy nieustannie „poświęcają się dla Polski”. Nawet wtedy, gdy spuszczają spodnie.

#### ■ KU PAŃSTWU PRYWATNEMU

W październiku 2019 roku Polska, żeby odwołać się do typologii węgierskiego socjologa Bálinta Magyara, nie jest jeszcze państwem prywatnym (mafijnym), ale bez wątpienia jesteśmy coraz bliżej tego celu. W każdym razie ten cel jest realizowany z żelazną konsekwencją, metodami, które zostały już wypróbowane przez Władimira Putina, Viktora Orbána, Recepę Erdoğan.

I wielu innych, którzy zamierzali o dyktatorskich rządach.

**Piotr Gajdziński**

**Piotr Gajdziński** jest niezależnym publicystą i specjalistą PR, autorem m.in. książek *Anatomia zbrodni nieukaranej. Dlaczego nie rozliczyliśmy się z komunistyczną przeszłością*, *Imperium plotki, czyli amerykańskie śniadanie z niemowląt* oraz *Prowokacja. Dyktatorzy, politycy, agenci*, biografii Edwarda Gierka (*Człowiek z węgla*), Wojciecha Jaruzelskiego (*Czerwony ślepowron*) i Władysława Gomułki (*Dyktatura ciemniaków*). W 2019 wspólnie z Jakubem Gajdzińskim wydał książkę *Delfin. Mateusz Morawiecki*.